NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie w mi jscu 1456·— Marek, z przes. 1482·— Mk. Półrocznie 2964·— Mk. Rocznie 5928·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. umer pojedynczy 15 centimów.
Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp. na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petit. w części redakcyjn. 50 Mp. — Zamiejscowe o 50%, zagraniczne o 100% drożej.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódź, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 120 Marek.

Rok XIX. Kraków, 1 lipca 1922. Nr. 26.

Hołd krakowskiej dziatwy Ameryce



Komitet wykonawczy P. A. K. P. D. wraz z gośćmi po defiladzie.

Od Administracyi.

Z numerem niniejszym rozpoczynamy III ci kwartał dziewiętnastego roku wydawnictwa.

Wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy o rychłe nadesłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma; prenumerata wynosi:

kwartalnie . . 576 marek
do końca roku . 1152 „
wraz z przesyłką pocztową.



Hołd krakowskiej dziatwy Ameryce: Rynek krakowski podczas defilady dzieci w dniu 26. czerwca b. r.

Hołd krakowskiej dziatwy Ameryce.

(Do ilustracyi tytułowej i ilustracyi w tekście).

Rynek krakowski był w dniu 26 czerwca b. r. widownią pięknej uroczystości, mającej na celu złożenie przez dziatwę polską hołdu Ameryce za świadczenia jej w czasie wojny i okresie powojennym dobrodziejstw, którym setki tysięcy tych najmłodszych zawdzięcza życie, zdrowie i przetrwanie tego strasznego czasu.

Wiadomo, jak humanitarną i obfitą w skutki działalność rozwinęła na rzecz dzieci Europy, w szczególności zaś Polski, zagrożonych poprostu śmiercią głodową, za inicyatywą Hoovera, Ameryka. Wdzięczność naszego społeczeństwa, zanim znajdzie się sposobność okazania jej w inny, bardziej trwały sposób, ujawniła się w tej manifestacyi naszych maluczkich, którą widzieliśmy w poniedziałek dnia 26 czerwca b. r., na starym Rynku krakowskim.

W zachodniej połaci Rynku, od strony ul. Szewskiej, ustawiono trybunę ozdobioną zielenią, kwiatami i barwami Polski, Krakowa i Ameryki. Na trybunie zajęli miejsce przedstawiciele Ameryki, Członkowie Komitetu wykonawczego Polsko Amerykańskiego Dzieciom, reprezentanci władz i zaproszeni goście, u jej stóp przeciągnął, kierując się od wylotu ul. św. Anny, z górą dwie godziny trwający korowód młodzieży wszystkich szkół krakowskich i zakładów wychowawczych z swymi sztandarami i orkiestrami. Młodzież ozdobioną była po większej części odznakami, zakupionemi po dziesięć marek na budowę Pomnika Wdzięczności, a przechodząc w karnych szeregach obok trybuny, wznosiła okrzyki na cześć swych amerykańskich dobroczyńców, obsypując trybunę pękami kwiecia. — Uroczystością i pochodem, który wypadł pod każdym względem bez zarzutu, kierowali energicznie i sprawnie pp. Dobrzański i Drozdowski. Przy stolikach, ustawionych na rogach ulic, sprzedawały zaproszone panie odznaki na cel budowy Pomnika Wdzięczności, zakupowała je chętnie nietylko młodzież, ale i starsi. — Na trybunie zauważyliśmy między innymi pp. Biesiadeckiego b. ministra, wicewojewodę Kowalikowskiego, starostę dr. Bala, prezydenta sądu Panka, kuratora Owińskiego z zastępcą swoim dr. Pollakiem, komendanta miasta pułkownika Beckera, prezesa Komitetu wicepr. Rollego, wiceprezyd. dr. Bobrowskiego, hr. Borkowską, Rychłowską, wiceprez. Izby Handlowej Perosia, dr. Józefa Zanietowskiego z Oddziału ameryk. Czerwonego Krzyża. Prócz wymienionych byli obecni dyrektorowie wszystkich szkół, oraz grono obywateli amerykańskich, przebywających chwilowo w Krakowie, jak pp. Henry Marguliez z Nowego Jorku, B. Fischerowa z St. Louis, państwo R. Dąbrowscy z Minncapolis i wielu innych. Rynek zaległy tysiączne rzesze publiczności ze wszystkich sfer, przyglądając się pięknemu pochodowi, w którym wzięło udział około trzydzieści tysięcy dzieci. Uroczystość zakończono wzniesieniem trzykrotnego okrzyku na cześć Ameryki.

Trzydziestolecie lwowskiego Koła Pań T.S.L.

Nad roztrząsaniem działalności Towarzystwa Szkoły Ludowej, zwłaszcza na kresach wschodnich, rozwodzić się nie potrzebujemy, każdy, kto kiedykolwiek miał sposobność odwiedzić byłą Galicyę Wschodnią, mógł się przekonać, jakie zasługi dla rozwoju polskości położyły jego placówki, najdalej na wschód wysunięte. Niespożytej energii i prawdziwie obywatelskiemu poświęceniu się członków T.S.L. zawdzięczać należy zwalczenie trudności, których nie brakło nietylko ze strony wrogich nam żywiołów, ale także i z szeregów własnego społeczeństwa, niejednokrotnie zapoznającego lub niedoceniającego należycie znaczenia tej w całej pełni kulturalnej instytucyi. Dziś, Bogu dzięki, otwarły się oczy, nawet



Hołd krakowskiej dziatwy Ameryce. Defilada dziatwy przed przedstawicielami P. K. P. D. w dniu 26 czerwca b. r. na Rynku krakowskim.

niedowierzającym i, choćby nawet nie chcieli, muszą przyznać, że uratowanie dla Polski tych tysięcy serc i dusz, rozrzuconych między ludnością ruską na wschodnich naszych kresach, to we lwiej części zasługa Towarzystwa Szkoły Ludowej, które na tym zagrożonym terenie rozwinęło bardzo energiczną i owocną działalność.

Jedną z najstarszych placówek tej kulturalnej instytucyi jest lwowskie Koło Pań T. S. L., w roku bieżącym obchodzące trzydziestolecie swej pracy, mogącej się wykazać bardzo pięknymi rezultatami.

W bursie T. S. L. im. Felicyi Boberskiej odbyła się w dniu 14. czerwca piękna uroczystość jubileuszu jego istnienia. W gustownie przystrojonej sali zebrali się liczni członkowie T. S. L. oraz zaproszeni goście. Przewodnicząca Koła p. Nizikowska wygłosiła słowo wstępne, w którem dała obraz 30 letniej działalności Koła, poczem dyr. Prószyński złożył życzenia i wyrazy uznania Kołu Pań imieniem Głównego Koła T. S. L. odczytując list założyciela T. S. L. dra Ernesta Adama. Arcybiskup Bilczewski przesłał Kołu również swoje życzenia i arcypasterskie błogosławieństwo. Po przemówieniach nastąpiły bardzo udatne produkcye wychowanek Zakładu, śpiew chóralny oraz deklamacye. Układ programu był nader wdzięczny i urozmaicony. Szczególniej piękny był taniec pszczół przy deklamacyi „Piastowe pszczoły“ M. Konopnickiej oraz taniec kwiatów. Po skończonym programie podejmowało Koło Pań swoich gości herbatką.





Trzydziestolecie lwowskiego Koła Pań T.S.L.: „Taniec pszczół“ i „taniec kwiatów,“ wykonane przez dziatwę podczas obchodu jubileuszowego.

Stanisław Przybyszewski w Bydgoszczy.

Stanisław Przybyszewski przybył do Bydgoszczy w piątek, 9 czerwca b. r. przedpoł. w towarzystwie swej małżonki p. Jadwigi Przybyszewskiej i p. Jana Pietrzyckiego. Wybitnych gości powitali na dworcu: wiceprezydent miasta dr. Chmielarski, radca miejski p. Posłuszny, dyrektor Biblioteki Miejskiej p. Bełza, redaktor „Dziennika Bydgoskiego“ p. Łydko, oraz kilku innych przedstawicieli instytucyi kulturalnych i społecznych. Z dworca państwo Przybyszewscy pojechali samochodem do dr. Górskiego, który gościnnie użyczył kwatery gościowi.

Wieczorem w Teatrze Miejskim, przy szczelnie wypełnionej widowni odbyło się uroczyste przedstawienie „Topieli“ jednego z najznakomitszych dramatów Stanisława Przybyszewskiego. Autora i jubilata w krótkich słowach powitała ze sceny dyr. Siemaszkowa, wznosząc przy końcu okrzyk na cześć Przybyszewskiego, który z entuzyazmem powtórzyło licznie zebrane audytoryum. Słowo wstępne w formie referatu o twórczości Przybyszewskiego, wygłosił dr. Michał Wagner, nawiązując swoje przemówienie do sprawy gimnazyum polskiego w Gdańsku, która inicyatora i tak wytrwałego orędownika znalazła w Stanisławie Przybyszewskim.

Wzruszony serdecznie autor i jubilat podziękował ze sceny za okazane mu dowody czci i przywiązania,



Trzydziestolecie lwowskiego Koła Pań T.S.L.: Zarząd i członkowie Koła.

zaznaczając, że Bydgoszcz jest pierwszem miastem w Polsce, które tak szeroką inicyatywą poparło doniosłą sprawę gimnazyum polskiego w Gdańsku, oraz, że chwile spędzone w tem mieście na długo pozostaną mu w pamięci. Mówca wspomniał przytem o projekcie założenia w Gdańsku „Domu naszego“, któryby skupiał w sobie kulturalne życie Polaków uroczysta wieczornica przy współudziale jubilata, jego małżonki i całego szeregu wybitnych osobistości.

Stanisław Przybyszewski zamierza wyjechać do Ameryki, aby tam wśród Polonii amerykańskiej znaleźć poparcie dla swego projektu utworzenia w Gdańsku „Domu naszego“ dla potrzeb kulturalnych osiedlonej tam ludności polskiej.



Stanisław Przybyszewski w Bydgoszczy: Jubilat z małżonką w towarzystwie dyr Siemaszkowej i prof. Wagnera.

Wolnego Miasta, prosząc obecnych, jak i całe miasto, o życzliwe poparcie tej sprawy.

Przedstawienie „Topieli“ wypadło pod każdym względem doskonale, a znakomita gra artystów, w szczególności p. Siemiaszkowej, za co jej autor osobno ze sceny podziękował, znalazła żywe uznanie w postaci hucznych oklasków ze strony audytoryum.

Podczas antraktów zebrano około 107.000 mk. na rzecz gimnazyum polskiego w Gdańsku, która to suma wskutek życzenia jubilata, staje się początkiem tak zw. „Funduszu im. Jana Kasprowicza“.

Po przedstawieniu w salach „Klubu Polskiego“ odbyła się staraniem Organ. Inteligencyi Polskiej

Zgon przyjaciela Polaków.

Telegramy z końca ubiegłego tygodnia doniosły o śmierci jednego z najwybitniejszych współczesnych polityków, byłego premiera gabinetu rumuńskiego i ministra spraw zagranicznych, Take Jonescu zdeklarowanego przyjaciela Polaków i właściwego twórcy dzisiejszej Wielkiej Rumunii. Zmarł na anginę, licząc niewiele ponad sześćdziesiąt lat życia.

Take Jonescu był z zawodu adwokatem, a w życiu politycznem swej ojczyzny odegrał w ostatnich dziesiątkach lat, w szczególności zaś w okresie wojennym, rolę bardzo wybitną. Pierwotnie członek partyi liberalnej, w której był przewódcą odłamu tak zwanego nowo-liberalnego, przeszedł następnie do konserwatywnej, w czasie wybuchu wojny należąc do głównych przedstawicieli politycznej oryentacyi zachodniej, prącej rząd rumuński do wypowiedzenia wojny Austryi. Stało się zadość jego woli, a choć chwilowo zdawało się, że Rumunii grozi zupełna zagłada, w rezultacie przewidywania Take Jonescu okazały się trafnemi i wyłącznie jego jest zasługą zjednoczenie Rumunów siedmiogrodzkich, bukowińskich i rosyjskich z macierzystym krajem. Po zajęciu Rumunii przez Niemców musiał opuścić ojczyznę, nie przestając w dalszym ciągu pracy dla jej dobra w Paryżu i Londynie, gdzie stał na czele Komitetu Narodowego Rumuńskiego.

Wróciwszy do kraju w r. 1919, Take Jonescu zajął się reorganizacyą swego stronnictwa, które przybrało nazwę demokratyczego i wystąpiło do ostrej walki z partyą liberalną i jej wodzem Jonelem Bratianu. W czerwcu 1920 r. objął tekę spraw zagranicznych w rządzie jen. Averescu, w grudniu 1621 został prezydentem ministrów. W styczniu b. r. ustąpił władzy gabinetowi liberalnemu.

Przyjaciel serdeczny Venizelosa, był razem z nim autorem koncepcyi sprzymierzenia ze sobą wszystkich małych państw środkowej Europy, które z wojny światowej wyszły zwycięsko. Koncepcyę tę zaczął też wprowadzać w czyn, przystępując do przymierza czesko jugosłowiańskiego i tworząc w ten sposób Małą Ententę, następnie zawierając przymierze rumuńsko polskie. Pośrednictwo w sporze polsko czeskim i stała pomoc dyplomatyczna jakiej



Zgon przyjaciela Polaków: Take Jonescu, b rumuński prydent gabinetu i minister spraw zagranicznych.

nam udzielał na Zachodzie dzięki znaczeniu i zaufaniu jakiem się tam cieszył (w szczególności u Lloyd George'a), wreszcie energiczne popieranie stanowiska Polski w sprawie Małopolski Wschodniej, to główne zasługi zmarłego w stosunku do naszego państwa.

Poświęcenie sztandaru Ochotniczej Straży Pożarnej warsztatów kolejowych we Lwowie.

Ochotnicza Straż Pożarna warsztatów kolejowych lwowskich w dniu 18 czerwca b. r. obchodziła uroczystość poświęcenia swego sztandaru. Po nabożeństwie w kościele św. Elżbiety, podczas którego śpiewał chór kierowników parowozów przy towarzyszeniu orkiestry kolejowej, nastąpił akt poświęcenia sztandaru i wbijanie gwoździ honorowych. Funkcye rodziców chrzestnych pełnili pp. prez. Dyr. Kol. K. Barwicz z p. Gayczakową, prezyd. miasta J. Neuman z p. S. Kuczyńską, wicepr. Dyr. Kol. A. Nosowicz z p. J. Neumanową, inż. Gayczak z p. Barwiczową. W nabożeństwie wzięli udział przedstawiciele kolejnictwa, miasta, Sokolstwa, Straży Ogniowych i różnych instytucyi.

Inicyatorką sprawienia sztandaru była p. Gayczakowa, w czem pomagali jej prezes Straży p. Gayczak, Kazimierz Kaiser i Fr. Czuszkiewicz, nadto przyczynili się do tego wydatnie członkowie Straży z naczelnikiem p. Mareckim i adjutantem Heisigiem. Sztandar, przedstawiający się bardzo okazale, wy-



Poświęcenie sztandaru Ochotniczej Straży Pożarnej warsztatów kolejowych we Lwowie: Członkowie Straży, rodzice chrzestni i zaproszeni goście po akcie poświęcenia. Fot. M. Münz, Lwów.

RENE BURES.

Zil=X...

22) tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

I jeszcze raz, z większą już siłą uderzył młotkiem żelaznym w bramę.

Nie odniosło to jednak żadnego skutku. Po upływie trzech minut sędzia widocznie zniecierpliwił się na dobre, bo zaczął walić w drzwi z całych sił nogami i rękami, tak, jak to poprzednio uczynił Markas. Ale widocznie musiało gdzieś być zapisane, że uderzenia sędziego nie będą więcej skuteczne od uderzeń ajenta. Drzwi były zamknięte. Sędziego gniew prawdziwy ogarnął. Rzucił się na drzwi chcąc je wyważyć ciężarem własnego ciała, ale tylko zmęczył się i poczerwieniał napróżno.

— Nie zwracając już uwagi na naszą obecność odwrócił się do Markasa i zawołał podrażnionym głosem:

— Co to u licha! Dlaczeg on nie otwiera? Czy mam tu czekać do wieczora! Ale to tak nie pójdzie. Ten pan przekona się zaraz z kim ma do czynienia.

Lekki, ledwie dostrzegalny uśmiech ukazał się na twarzy Igginsa. Ale milczał dalej, patrząc z upodobaniem na sędziego.

Ten raz jeszcze kilkakrotnie poruszył młotkiem, i w końcu powrócił do nas czerwony z gniewu.

— Czy panowie naprawdę są pewni, że pan Dambleuse jest w zamku — zapytał.

— Tak — odpowiedział Iggins.

— Próbował pan wejść?

— Tak.

— I nie udało się panu?

— Oczywiście, skoro stoimy za drzwiami.

— Ale ja tam wejść muszę i wejdę! — zawołał.

— Dobrze — uśmiechnął się Iggins.

Pan Pontvau podskoczył jak młodzik do bramy i waląc w nią pięściami, krzyczał na cały głos:

— Otworzyć! W imieniu prawa! otworzyć!

Wówczas jedno z wąskich okienek na wieży uchyliło się i ukazała się blada ze złości twarz starego Dambleuse. Równocześnie gniewny, opryskliwy głos rzucił pytanie:

— Czego wy jeszcze chcecie?

— Pan jest, pan René Dambleuse — krzyknął sędzia podnosząc głowę jak mógł najwyżej.

— Ja sam! — odparł stary. — Pracuję, a wy mi nie dajecie spokoju.

— Jestem pan Pontvau, sędzia z Pontoise.

— Kpię sobie z tego.

— O której godzinie, będzie mógł pomówić z panem!

— O żadnej.

— Panie! to szaleństwo! Przybywam służbowo.

— Co mnie to obchodzi.

— Muszę przeprowadzić śledztwo w sprawie zniknięcia służącej pana, Elwiry Bourdon.

— Kpię sobie z tego!

— Ależ, panie! to niemożliwe! To jawny bunt przeciwko władzy.

— Tak, panie.

— A więc pójdę zawezwać żandarmów i ślusarzy! Otworzymy zamek przemocą!

— Będę się bronił!

— Panie — próbował załagodzić sprawę sędzia, który nie mógł zrozumieć oporu starego. — Niech się pan zastanowi!

— Dosyć! krzyknął stary zamykając z trzaskiem okno! Dosyć do wszystkich dyabłów!

— Panie Dambleuse! Jedno słówko tylko! Panie Dambleuse.

Ale stary już nie roztworzył okna, a sędzia pozostał z głową zadartą do góry mrucząc z wściekłością:

— Tego już za wiele! na honor! tego już za wiele. Cóż on sobie wyobraża ten stary. Prawa nie istnieją dla niego! Ano zobaczymy! Zobaczymy!

Umilkł na chwilę i zaczął się nad czemś głęboko zastanawiać. Widocznie rozmyślanie to podsunęło mu plan dobry, bo po krótkim czasie, podszedł żywo do Markasa i rozkazał.

— Biegnijcie do wsi... sprowadźcie natychmiast żandarmów — konmi — słyszycie... i ślusarza także. Tylko prędko! Natychmiast!

— Dobrze panie sędzio — odpowiedział spokojnie Markas.

Obrzucił nas wszystkich nieprzeniknionem spojrzeniem i szybkim krokiem oddalił się w stronę wsi.

Sędzia chwilę stał przed zamkniętą bramą, poczem przechadzać się zaczął tam i z powrotem. Od czasu do czasu spoglądał w naszą stronę z wyrazem niechęci i niezadowolenia.

Co do nas nie zwracaliśmy wcale uwagi na jego obecność. Iggins zapalił fajkę, a ja z Daltonem papierosy.

Po upływie mniej więcej pół godziny usłyszeliśmy na drodze tentent, biegnących koni. Żandarmi nadjeżdżali już. Było ich trzech z brygadyerem na czele.

— Zsiądźcie z koni — rozkazał sędzia, kiedy stanęli pod zamkiem.

Żandarmi zeskoczyli z siodeł i uwiązali konie u drzew pobliskich.

— Czy ślusarz przybędzie — zapytał sędzia niecierpliwym głosem.

— Jest już w drodze — odpowiedział brygadyer. Powinien tu być za dziesięć minut.

— Ah! zobaczymy! zobaczymy teraz co powie pan Dambleuse — szepnął do siebie pan Pontvau.

W chwilę później nadszedł Markas ze ślusarzem, niosącym w ręku worek skórzany.

— Stańcie obok mnie — rozkazał sędzia żandarmom. Kiedy wypełnili jego zlecenie, sędzia mierzonym, godnym krokiem podsunął się pod bramę zamkową.

Uderzył silnie młotkiem i krzyknął:

— W imieniu prawa, proszę otworzyć!

Ale w zamku panowała cisza zupełna.

— Doskonale zawołał sędzia. Poradzimy sobie. Dalej — zawołał — zwracając się do ślusarza! — Trzeba te drzwi otworzyć.

Robotnik zbliżył się do bramy, wsunął klucz wyjęty z torby w zamek i próbował go przekręcić. Ale zaraz wyprostował się i rzekł ze zdziwieniem.

— Oh! proszę pana to nie pójdzie tak łatwo.

— Dlaczego?

— Dlatego, że dotąd nie widziałem jeszcze podobnego zamku — odrzekł ślusarz. Znam je zapewnie! Ale w użyciu nie spotkałem się z nimi nigdy. Daleko prędzej będzie wyważyć drzwi odrazu.

— Jesteście ślusarzem — wyrzekł surowo sędzia — wymagam od was otworzenia tego zamku, ale nie wyważenia drzwi.

— Wiem... wiem — odpowiedział robotnik spokojnie. Ale zapwiadam panu, że to robota, która potrwa najmniej dwie godziny.

— Dwie godziny?

— Tak, bo widzi pan, to jest taki zamek, który nie da się otworzyć wcale, trzeba go wyjąć kawałek po kawałku. W Paryżu może mają potrzebne narzędzia — ale ja nie potrafię go otworzyć.

— A więc, trzeba zniszczyć zamek. — Niech robota trwa godziny! — zawołał sędzia... — Zawsze to potrwa prędzej, niż posyłanie po narzędzia do Paryża.

Pewnie — oświadczył robotnik. — Spróbuję. Wziął się do roboty, usiłując podważyć zamek, ale męczył się napróżno przez kilka minut.

— A może by można wyciąć kawałek drzewa z drzwi — zaproponował Markas, który z zajęciem przypatrywał się wysiłkom ślusarza. Pójdzie to prędzej.

— Doskonała myśl! Ale ja nie wziąłem ze sobą piły.

— Jeden z żandarmów pojedzie po nią do wsi — rozkazał sędzia.

Markas skoczył, aby wydać potrzebne zlecenie.

Po upływie kilku minut, powrócił żandarm z żądanym przedmiotem. Ślusarz zniechęcony bezowocnymi wysiłkami, wziął się niechętnie do piłowania. Ale zaledwie rozpoczął, kiedy piłę odrzucił ze złością i zawołał.

— Na nic to wszystko! Nie damy rady tem drzwiom!

— Dlaczego — zdziwił się sędzia.

— Po za temi drewnianemi drzwiami, są jeszcze drugie żelazne. Tych przecież piła nie przerżnie.

Dalton z boku przypatrywał się tej scenie, niewzruszony i spokojny. Iggins uśmiechał się. Ja zaś śledziłem wszystko z zaciekawieniem.

— Spróbujcie wyrznąć większy otwór w drewnianych drzwiach — oświadczył sędzia — panując nad zdenerwowaniem. Potem zaatakujemy żelazne.

— Dobrze, ale nie wiem czy się to na wiele przyda — odpowiedział robotnik.

Kiedy drzewo już wyjęte zostało, co zajęło dosyć dużo czasu, ślusarz zabrał się do wywiercenia otworu w drzwiach żelaznych. Lecz przy pierwszem uderzeniu młotem, żelazny świder złamał się.

W tej chwili do drzwi podszedł Iggins.

— Czy można zobaczyć? — zapytał.

Obejrzał dokładnie drzwi, poczem rzekł do sędziego spokojnym flegmatycznym głosem.

— Wszystko to, co robicie dotąd, jest bezużyteczne. Te drzwi nie otworzą się... To są drzwi, jakich się używa do kas ogniotrwałych.

— Naprawdę? Pewnym jest pan tego? — zapytał z zainteresowaniem sędzia, pozbywając się już teraz swojej zimnej obojętności.

— Tak. Ażeby je przebyć, trzebaby mieć różne skomplikowane narzędzia, które wam powinny być przecież znane — zwrócił się Iggins do starego ajenta.

— Tak. Pan Iggins ma słuszność — oświadczył Markas.

— A więc co robić! jęknął sędzia. Ja muszę wejść do tego domu. Co to za człowiek? Co ja zrobię? Co ja zrobię?

— Posłuchajcie mnie — wyrzekł Iggins. W mięszam się po raz pierwszy do tego, co do mnie nie należy. Mam tu swój automobil. Markas pojedzie po robotnika specyalistę. Za półtorej godziny będzie z powrotem.

Sędzia zawahał się chwilę.

— Ej! rzekł w końcu, niech się dzieje co chce. Ja muszę tu wejść. Dziękuję panu za radę. A wy, Markasie jedźcie zaraz. Jeżeli się pospieszycie, skończymy przed wieczorem.

Markas skoczył do automobilu i pomknął w przyspieszonem tempie w stronę Paryża.

Czekaliśmy na jego powrót blisko dwie godziny. Była już godzina piąta, kiedy nareszcie nadjechał wraz z dwoma robotnikami.

Zabrali się natychmiast do roboty, uspokoiwszy przedtem sędziego, że za godzinę zamek zostanie otworzony.

Ale nagle okno na wieży otworzyło się i doszedł nas krzykliwy głos starego Dambleuse.

— Co wy tam robicie?

— Otwieramy drzwi — zawołał sędzia, czerwieniąc się ze złości na widok starego.

— Zabraniam wam tego!

— A ja rozkazuję!

— Tak! To wam poszlę pierwsze ostrzeżenie! Równocześnie rozległ się strzał.

Jeden z koni żandarmów zwalił się ziemię. Poderwał się parę razy, w końcu upadł i nie poruszył się już więcej.

— Oh! mruknął sędzia. On jest naprawdę szalony. Bezpieczniej będzie posłać po pomoc.

— Niepotrzeba! — rzekł Iggins.

— Jakto? Niepotrzeba? Ależ on może nas wszystkich pozabijać!

— Im więcej nas będzie, tem więcej będzie miał celów do strzałów. Najlepiej będzie, jak się ustawimy wszyscy u stóp muru, gdzie mu już będzie trudniej nas dosięgnąć. Ale nie sądzę, aby zechciał strzelać do nas.

— A więc zostańmy — odpowiedział sędzia, któremu zimna krew Igginsa, zaczęła imponować.

W tej chwili jeden z robotników, zajętych przy otwieraniu bramy, podniósł się i rzekł:

— Już zrobione. Zamek jest otworzony. Ale drzwi nadal pozostają zamknięte. Muszą być z tamtej strony zasunięte zasuwki.

— Dobrze — zowołał sędzia ślizgając się wdłuż muru do bramy, w obawie aby nie być dostrzeżonym przez starego Dambleuse. — Zasuwki! Jest pan tego pewnym? A więc co my zrobimy?

— Nie wiem sam doprawdy! — odpowiedział ślusarz — ale postaram się jeszcze wybadać, w którem miejscu ona jest. A potem przedziurawię drzwi i odbiję zasuwkę bijąc mocno z tej strony. Innego sposobu niema.

— Długo to potrwa?

— Ah! przynajmniej półtorej godziny, a może i więcej.

— Ależ to już będzie noc!

— Tak, ale co ja na to poradzę.

— Zacznijcie więc już — rozkazał sędzia. Zobaczymy.

— Narzędzia moje są na maszynie. Poszedłbym po nie, ale jeżeli ten waryat mnie zobaczy, to gotów do mnie strzelić jeszcze — zauważył robotnik.

— Sam pójdę po nie — oświadczył Iggins.

(Ciąg dalszy nastąpi)

KAZIMIERZ KALINOWSKI.

Z oparów krwi

Powieść dyktowana przez autora w transie.

12)

Oto nocami istota jej rozdwaja się... i w chwili, gdy ona leży w szopie nieopodal cmentarza, druga jej połowa odchodzi od niej daleko i działa... działa tą siłą ducha, co jest w niej i w tej pieśni dwugłosem wciąż płynącej nad nią...

Jak się to dzieje, tego ona objaśnić swoim towarzyszom nie umie. Ale często musi z nimi o tem mówić.

Dla Juljana rzeczy te nie są tak dziwne. On przywykł do rzeczy tak nadzwyczajnych, że pojmuje to łatwo...

Wszak w ostatnich latach on sam jest tylko powolnem narzędziem w ręku ducha.

Oddawna był dla ludzi dziwakiem, fantastą, że zaś żył samotnie, przeto nikt nie rozumiał jego postępków.

Alferow odziedziczył po ojcu majątek olbrzymi w ziemiach i fabrykach, ale sam już nie miał upodobań do robienia majątku w sposób przemysłowy na wzór rodziców. Przeciwnie, wszystko wskazywało, że majętności swoje podaruje raczej społeczeństwu.

Wcześnie wpadł w namiętność tworzenia zbiorów artystycznych. A stało się to pod wpływem przyjaźni z Piotrem Nelinem.

Zbliżyli się do siebie w wielkich salach muzeów londyńskich i łatwo zrozumieli wzajemnie. Juljan w niejednem pomógł rzeźbiarzowi, gdy artysta znowu ukazywał mu wyższe horyzonty kultury artystycznej.

Aż raz w pięknym parku wśród mgieł z nad Tamizy stanęła przed przyjaciółmi piękna kobieta. Ada było jej imię.

Cudne oko szafirowe... czarowny włos koloru roztopionej miedzi... bujny wzrost... kształty subtelne... a kultura wysoka — wszystko to uderzyło ich obu, ale nie jednako.

Obaj cudzoziemcy zbliżyli się do niej jednocześnie. Juljan rychło rozgorzał wielką miłością, gdy serce Ady zapłonęło właśnie dla pięknego artysty.

Piotr miał dziwną naturę — bujną, szeroką, jak rodzinna jego rzeka... Ale więcej ognia umiał z siebie wykrzesać na widok pięknej skały, niż najpiękniejszej kobiety.

Kamień pociągał go... na jego widok czuł w sobie rzeźbiarza... a palce jego bezwiednie szukały dłuta...

A kobieta?

Szukał w niej przedewszystkiem linij do posągu. Podobała mu się każda, jeśli kształty jej odpowiadały wymaganiom jego artystycznego oka...

Ale żadna jeszcze nie przemówiła do niego tak mocno, by zdołał ją pokochać.

Ada milczała. Nie zdradziła się niczem.

Lecz to zimne z jego strony przyjęcie kwietnej wiązanki dziewiczych uczuć jej serca — owionęło ją żalem na całe życie.

Wyszła za Alferowa. Stała się jego przyjaciółką, żoną wierną. Ale zawodu miłosnego przeboleć nie mogła.

Pospołu z Piotrem podróżowali ponad czarownemi jeziorami dziwnej Finlandyi. Bywały tam chwile, że jej się zdawało, iż serce rzeźbiarza da się jeszcze skruszyć.

Jednak wkrótce potem przekonała się w nadnewskiej stolicy, że się myliła: bo ich przyjaciel, zakochany tylko w nieuchwytnej wizyi Sztuki, gotów w tych pałacach, w jakich się tam spotykali, więcej współczuć kolumnie kamiennej z powodu okaleczałego kapitelu, niźli niewieściemu sercu, złamanemu bolesnym zawodem w miłości.

Spotkali się po latach dopiero, kiedy Piotr, zaproszony przez Juljana, odwiedził ich na Wołdze, na której falach spędzili lato na własnym jachcie.

Patrzała wtedy w niego, jakby w raj utracony... Ale milczała — starając się nie zdradzić niczem.

I jeszcze stamtąd pojechali razem do kopalń Alferowa na Uralu... I oto tam właśnie, kiedy się wpatrywali w czary kamiennych poematów mozajkowych, zakrzepła rana serdeczna w sercu Ady.

Rozstała się z nim na zawsze. Postanowiła nie ujrzeć go już nigdy w życiu.

Ale przy boku męża żyć dalej nie mogła.

Ojciec jej mieszkał nad Gangesem, więc się przeniosła do Indyi na stałe, pozostawiwszy Klaudyę Juljanowi.

Zapowiedziała mężowi, że nigdy do niego nie napisze, ale że wierzy, iż porozumiewać się z nim będzie w jakiś inny sposób.

Czy sobie wtedy zdawała sprawę z tego, co mówi, nie wiadomo... Lecz znaczenie tych słów zrozumiał Alferow po śmierci swej ubóstwianej jedynaczki.

Klaudya od dnia pogrzebu nawiedzała ukochanego ojca nocami, a nieraz i w biały dzień. Rozmawiał z nią, jak z żywą.

Duch jej kierował odtąd jego życiem... Co więcej, duch Klaudyi przynosił mu prośby Ady... I Juljan spełniał je jak najchętniej.

Córka doniosła mu, że Ada, pod wpływem Hindusów, zerwała zupełnie z życiem dotychczasowem i wiedzie żywot pustelniczy.

To jej daje szczęście wielkie. Duch jej jednak nie poprzestaje na tem, lecz doszedł do takiej doskonałości, iż może dobrych rad udzielać mężowi. A używa do tego pośrednictwa ich młodziutko zmarłej córki.

Za radą z nad Gangesu, Alferow ofiarował Nelinowi bez chwilki namysłu pałac wraz z nieobliczalnemi skarbami Sztuki.

Ale w kilka dni później zdecydował się rozdać wszystkie swoje ziemie, a majątków ziemskich miał bez liku.

Za podszeptem Ady przez Klaudyę, w każdym swym majątku wiejskim utworzył jakąś instytucyę dobroczynną na ogromną skalę: to dla dzieci, to dla starców, to dla kalek, to dla zubożałych starych artystów... A na utrzymanie każdej takiej instytucyi zapisał ową wieś, w której ją umieścił.

Już był gotów rozporządzić swoimi zbiorami, oddając je jako muzea narodowi, gdy naraz rewolucya i walka czerwonych z białymi przeszkodziły mu w spełnieniu tego...

I nadal wszakże godził się już z tą myślą, że wszystkie swoje skarby przekaże krajowi, rozdaruje społeczeństwu: tak dalece poddawał się wskazówkom i poleceniom z tamtej strony świata.

To też naraz wtrącony do więzienia po zawładnięciu miastem przez czerwonych, nie uczuł się tak dotkniętym, jak inni bogacze, tem, że tyrani nowi ograbią go ze wszystkiego...

Żal mu było, że tyle rzeczy, w które włożył kawał swej duszy, przepadnie wśród pogromów nowoczesnych Hunnów... Byłby wiele dał za to, by móc to wszystko ocalić... byle kiedyś, gdy w kraju zapanuje nowe życie... za dni pokoju... następne pokolenia mogły korzystać z tego, co on zbierał, gromadził...

Ale nie czuł się skrzywdzonym pod tym względem, że z magnata, któremu pozazdrościć mógł niejeden z monarchów, stał się naraz nędzarzem bezdomnym.

Kiedy go w pierwszą noc w więzieniu pocieszał duch Kladyi i powtarzał mu słowa pokrzepienia od dalekiej, a bliższej dziś, niż kiedykolwiek, Ady-pustelnicy, Juljanowi żal się zrobiło, że tam za cmentarzem tyle różnych rzeczy dla siebie, i tylko dla siebie krył w piwnicach, których śladu nikt nie zdoła natrafić...

Zato jakże się uradował, że to wszystko, co w przeddzień przyjścia czerwonych do miasta, zdążył tam ukryć, będzie teraz służyło dla ich całej gromadki...

A w istocie od szeregu tygodni ratuje to czworo ich od głodu i jest zarazem wielką pomocą w chorobie Piotra Nelina.

Rzeźbiarz od pierwszej chwili, gdy usłyszał głos Edwarda podczas dalekiego huku dział, a Iza ze swego posłania potwierdziła mu, że go nie myli ucho duszy, uwierzył, że nie bez powodu Opatrzność zesłała mu w owej ciężkiej godzinie życia niespodziewaną wybawicielkę.

— Jest jakiś cel... jest jakiś głębszy powód, dla którego ja mam żyć dalej... i dla którego żyć mam w tej szopie z nimi.

...Czy tylko na to ocalono mnie, bym się tu męczył przez czas pewien wraz z nimi... czy też wszyscy we czworo spełnić mamy jeszcze coś wielkiego w życiu, na które z tej szopy mizernej wyjdziemy...

...Życie jest przed nami, życie, nie śmierć!

On wierzył, bo miewał nieraz zdarzenia, że go sen jakiś przed czemś ostrzegał... to znów dziwny zbieg okoliczności powstrzymał go od spełnienia czegoś, czego byłby później żałował.

A w snach bywała zwykle jakaś piękna kobieta.

Lecz na jawie — kobiety nie było u jego boku w życiu.

Ile razy spotkał jaką, na której wzrok zatrzymał dłużej, uważniej, to zawsze zajmowały go tylko jej ciało; a ciało — jako piękny model dla artysty.

Lecz duszą żadnej kobiety nie zajął się jeszcze Piotr Nelin.

Może byłaby go zainteresowała bliżej prześliczna córka przyjaciela, gdyby żyła dłużej. Ale Klaudya umierając, miała zaledwie osiemnastą wiosnę.

I dlatego pewnie Alferow miał racyę, mówiąc, że się w gemmie zakochał... Bo w istocie nie pamięta, by się kiedy tak długo i tak trwale entuzyazmował pięknem żywej kobiety, jak właśnie ową kameą, którą przezwał Różyczką.

I oto teraz, kiedy losy zamknęły go w szopie, w której niedawno pracował nad sarkofagiem Klaudyi, z trojgiem ludzi, wśród których jedna kobieta stała się przewodnikiem duchowym — Nelin musiał poprzez zielone oczy zajrzeć w głąb duszy Izy.

I była to naprawdę w życiu jego pierwsza kobieta, której duszą potrafił się zająć więcej, niźli kształtem jej ciała.

Żonę Edwarda znał już dobrze. Zaprzyjaźniwszy się z nim, bywał u nich często i jeszcze częściej sam gościł ich oboje u siebie.

Grą jej na fortepianie zachwycał się, ale zazwyczaj słuchał wtedy najbardziej kompozytora.

Raz nawet Edwardowi obiecał, że wyrzeźbi jej portret i narysował od ręki szkic, jak ją chce zrobić siedzącą przy klawiaturze.

Podobała mu się... Raz zwłaszcza, kiedy do jakiegoś żywego obrazu, jaki na swoim wieczorze urządzał, stanęła w greckiej szacie, z włosem rozwianym, uderzyła artystę swem pięknem niezwykłem...

Wzrost jej bujny... posągowy... Włos długi... o złotej fali.. A ciało przedziwnie matowo-białe...

I zwłaszcza te wymowne — pełne mistycznej głębi - oczy... koloru toni morskiej.

Teraz Piotr nieraz wzrok swój zatapiał w otchłanie tych oczu, za któremi kryła się jakaś dusza wielka, z zaświatem rozmawiająca, z zaświata biorąca moce nadziemskie... i zdolna niemi porażać brutalność materyalną.

Kto ona? Czemże stała się ona dla tej małej gromadki w pustej szopie przy cmentarzu?

A jeśli ona, która siebie i ich od śmierci ocaliwszy, wyprowadzi na szersze rozłogi życia — dokąd ona ich zawiedzie? co im każe spełnić?

Zżyli się z sobą. Rozmawiali po całych dniach, a nieraz noc przegawędzili. Gdy naraz Piotr legł — i nie wstał z posłania.

Choroba już w nim była, gdy tam wszedł do tej szopy, ale dopiero w tydzień później rozpoznali tyfus, dziwiąc się temu nawet, bo straszna epidemia dawno już w mieście wygasła; tylko cholera zaczęła się szerzyć od chwili wejścia czerwonych.

Nie było innej rady, tylko w czterech ścianach szopy żyć dalej z tym chorym, bredzącym w gorączce. Iza stała się jego siostrą miłosierdzia i jak najtroskliwiej pielęgnowała Piotra tygodniami.

Prowadzili po cichu całe gospodarstwo, o ile możności prawie nie opuszczając szopy lub jej najbliższego otoczenia.

Raz za razem Alferow wyciągał coś z kufrów w piwnicach ukrytych, oddawał to stróżowi, a ten szedł w sąsiedztwo do starego dozorcy cmentarza — i wracał ze wszystkiem, czego trzeba było do życia dla nich czworga.

Staruszek posyłał na miasto córkę lub żonę, one spieniężały coś z rzeczy Alferowa, kupowały jedzenie — i tak mijały tygodnie, a w ich pustkowie nie zaszła żadna komisya czerwonych — i nikt nie odkrył ich schronienia.

Aż raz późnym wieczorem zajrzał do nich dozorca cmentarza i długo coś nad uchem Alferowa szeptał.

Kiedy wyszedł, obie kobiety podeszły do Juliana z niemem pytaniem na ustach, domyślając się czegoś niedobrego.

— Ktoś nas już szpieguje — rzekł po chwili Juljan — trzebaby stąd uciekać.

— A cóż z nim będzie? — spytała Marya, wskazując na chorego Piotra.

Lecz Iza uspokoiła ich:

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ernest Eckstein.

Bal maskowy

Z dziennika młodej mężatki.

Szkaradną schadzkę nazwał swem powołaniem! Ledwie się nie rozpłakałam!

— Rozważ tylko — ciągnął z obłudną niewinnością — iż w gruncie nie masz się na co uskarżać. Podczas, gdy inni właściciele ziemscy siedzą w swych dobrach, ja, dogadzając ci, ciągnę do miasta i pozwalam się wlec wszędzie, jakbym był narzeczonym od półtora miesiąca, a nie rozsądnym małżonkiem w drugim roku pobrania się, do tego wielbicielem umiejętności i namiętnym zwolennikiem spokoju.

I ja to musiałam wysłuchać droga Olesiu przy najczarowniejszem śniadaniu, gdy właśnie niewdzięcznikowi najpiękniejszy kawałek baraniny położyłam na talerz! Przez kwiaty (pod przenośnią), jeżeli to wogóle można nazwać kwiatami, pan Tyrow dał mi do poznania, iż epoka miłości, względności i kurtoazyi już przeminęła! Tak jest, na nieszczęście nie jest on już narzeczonym, ale mężem, ale mężem, znajdującym się na najgorszej drodze; zdrajcą, Don Juanem! Ach! i to wszystko sprawił mój bezimienny bilet!

— Proszę cię Rudolfie — odpowiedziałam, zwalczywszy przykre uczucie, proszę serdecznie; pozostaw całą sprawę inspektorowi. Tak ucieszyłam się tym balem! Ciebie oczywiście podobne zabawy nużą, lecz porównaj, jeżeli istotnie lubisz wygodę, parogodzinny przymus z tyloma trudami podróży. Ale wiesz co? Możemy zrobić układ! Ja skwituję z maskowej uroczystości, a ty z swego Oelzhauzu i oboje zostaniemy w domu! Zrobisz to dla mnie, nieprawdaż? — Popatrzył mi prosto w twarz. Duże jego, prześliczne oczy dziwnie zabłysły; zdawało mi się przez sekundę, że pochwyci mnie w ramiona i zawoła pokornie: Tak droga Alido, zostanę przy tobie. Ale wkrótce nieznaczny uśmiech przebiegł mu po ustach, tak delikatny, tak wytworny... i z poważno-uprzejmą stanowczością rzekł:

— Nie może być Alido! Bezwarunkowo muszę znajdować się przy ukończeniu interesu! Bądź rozsądną i nie dręcz mnie dłużej.

— Pójdę więc z panią Ilowską! — zawołałam hardo.

— Nie zrobisz tego, gdyż znasz moje zasady.

O! tak, znałam je bardzo dobrze. Zazdrosny aż do ekscesu (gdyż nazywam to zazdrością, lubo do niej się nie przyznaje) swobodnie i lekko bieży po drodze niewierności!

Jeszcze raz próbowałam odwieść go od przedsięwzięcia. Płakałam nawet, bowiem zgryzota, troska i trwoga sprawiły, iż nie potrzebowałam uciekać się do łez wymuszonych.

Wszystko nadaremnie.

Wkońcu duma się we mnie obudziła, przestałam nalegać.

— Dobrze więc - jedź! Pozostanę w domu — rzekłam obojętnie!

W milczeniu skończywszy herbatę, schroniłam się do mego cichego buduaru, gdzie zalewałam się łzami, podczas gdy Rudolf pojechał do parku miejskiego.

Mogłam go może zawstydzić, gdybym rzekła: „Pokaż mi list od twego inspektora!" Ale czyż listu tego nie mógł sfingować? Ci panowie, stworzenia, jak twierdzi pani Ilowska, najwięcej mają pomysłów wtedy, gdy chodzi o rzeczy nie bardzo dozwolone. Jakkolwiekbądź, gdybym go była zdemaskowała przed czasem, powodzenie byłoby niezupełne. Jutro, jutro między trzecim a czwartym slupem! Nie znajdzie żadnego wykrętu; nastąpi nieodwołalna katastrofa! Wówczas: albo — albo! Albo przeprosi mnie pokornie i przysięgnie na honor, że nigdy, nigdy w życiu nie zejdzie z drogi obowiązków, lub też opuszczę dom jego na zawsze!

— Ach! jestem bardzo nieszczęśliwa!

— Qui mon ange! Mamy zresztą jeszcze dwadzieścia pięć minut czasu, może więc nalałabyś mi „Chartreusy" szklaneczkę?

— Bezbożnik! I on myśli o Chartreusie, podczas gdy mnie serce mało nie peknie.

Oczekiwałam tylko, kiedy zaprzęgać każe, lecz zwolna wypalił cygaro do końca i rzekł obojętnie:

— Proszę cię, poszlej po dorożkę! Na tych kilka kroków nie warto koni trudzić!

W milczeniu pocisnęłam guzik od dzwonka, a gdy służący wszedł wysłałam go po dorożkę.

W pięć minut później Rudolf pożegnał się ze mną. Przelotnie pocałował mnie w czoło i rzekł: Do widzenia! Osłupiała i przerażona patrzałam z okna mego buduaru za znikającemi kołami. Zdawało mi się, iż tam potoczyło się moje szczęście, moja młodość, życie całe — na zawsze!

Dreszcz febryczny wstrząsnął mną całą.

Nie mogąc się uspokoić czas jakiś, przechadzałam się po wszystkich pokojach; a nieszczęśliwą Klarę pierwszy raz od mego zamężcia wyłajałam tak gwałtownie, iż zalała się łzami.

Podczas gdy biedne stworzenie łkało w kącie, dał się słyszeć głos dzwonka. Mały groom baronowej przyniósł mi wonią[c]y fiołkami bilecik, w kopercie łososiowej barwy, opatrzony koroną i monogramem i prosił o odpowiedź.

W eleganckiej korespondentce baronowa pisała:

„Chére enfant!

Cóż słychać? Widziałam właśnie pana i władcę, jadącego Jeziorną ulicą, z czego wnoszę — Enfin, cóż postanowiłaś? Mąż mój bardzo zajęty, przeto pojadę sama. Jeżelibyś chciała wyjść ze mną, punkt o godzinie 9 tej przyjadę po ciebie. Ponieważ będzie się w masce i w kole dobrych znajomych, nie czuję absolutnie najmniejszej *géne*.

Pozdrowienie i całus — od pewnej swego. *G.*"

— Jeziorna ulica! a miał udać się na dworzec! Jest to całkiem przeciwległa droga!

Natychmiast usiadłam do biurka i na świartce nabazgrałam:

„Kochana baronowo! O dziewiątej godzinie oczekuję panią. *A.*"

— Tak — rzekłam, gdy groom się oddalił — odrzućmy fałszywą sentymentalność! Kto wie, do czego to doprowadzi! Może lekcya okaże się tak doskonałą, iż na przyszłość do spraw podobnych odejdzie mu ochota.

Trzy kwadranse na siódmą — najwyższy czas, żebym rozpoczęła toaletę. Klara sądzi, iż pojadę z baronową do państwa Tarnów i pod tych opieką udamy się na bal. Dobre stworzenie! Zapomniała już o mej poprzedniej porywczości. Teraz lamentuje z powodu domina. Ma słuszność! Kostium mój bowiem jest zachwycający, renaissance, jedwabny poziomkowy z różowemi! I na to wszystko zarzucić szafirowe! Rozpacz prawdziwa! Klara nie może pojąć mojego postępowania; jestem porządnie zakłopotaną! Domino zamówiłem sobie dopiero wczoraj, tusząc przedtem ciągle, że nie będzie mi potrzebnem. Niestety!

Cara dolcissima! Gdybyś nie była zaręczoną zawołałabym z głębi serca: Nie wychodź za mąż Olesiu! Żyj spokojnie, pielęgnuj twe prześliczne kwiaty, orzeźwiaj się lekturą ulubionych poetów, grą sonat, które tak mistrzowsko wykonujesz, zawiąż stosunki z poważnymi ludźmi, a strzeż się związku, które tak obiecuje nam niebo — ah! a w łonie swojem ciężkie, złowieszcze burze ukrywa!

20 Stycznia, we czwartek.

Wczoraj powóz baronowej przybył ze zwykłą punktualnością,

— „Chére enfant" — rzekła, gdy siadłam koło niej. Ty drżysz! No! Niepotrzebnie to tak bierzesz do serca! Mężczyźni są, jacy są! I ręczę ci, iż ze stu, którzy by podobny bilet odebrali, jeden zaledwo nie skorzysta ze sposobności.

Westchnęła z głębi piersi.

— Mówiąc prawdę — ciągnęła baronowa dalej — miałabym nawet za złe memu mężowi, gdyby w podobnym wypadku nie okazał ciekawości. Mężczyzna bez temperamentu jest przerażającym sprzętem, bałwanem pustym, kretynem. Z takim dwadzieścia cztery godzin nie mieszkałabym pod jednym dachem. Teraz zbierz przytomność ma petite! Gdy małżonek zostanie o zdradzie przekonany, ukarz go najpierw najsurowszem zaniedbaniem później wszelako daj się przeprosić. Voila tout! Cała rzecz nie warta wzmianki!

Westchnęłam powtórnie.

— Dobrze jej mówić — pomyślałam. Ona jest damą wielkoświatową; posiada wszelkie środki dobrego humoru, dowcip, a jak sądzę i filozofią! Ale ja — wielki Boże! Nie — nie zniosę tego!

Wreszcie przybyłyśmy, Maleńki groom zaniósł nasze futra i kapotki do garderoby, podczas gdy ująwszy się pod ręce szerokiem schodami przedsionka wchodziłyśmy do sali.

Tam już rozlegała się wspaniała muzyka, wyborny walc, uroczy, porywający, ucieleśnienie uciechy życia. Ach! jakże czułabym się szczęśliwą, gdyby nie ten bilet! Rudolf nie lubił tańca, ale zawsze na pamiątkę naszych zaręczyn poloneza i walca pierwszego ze mną odtańczył. Ach! a tańczył tak cudownie! Było to niewymownie słodkie uczucie móc sobie powiedzieć: człowiek, który cię tak pewnie wśród wirujących par prowadzi, powiedzie cię tak samo przez wir życiowy, on jest twą tarczą i ochroną w wszelkich niebezpieczeństwach, on piękny, szlachetny i dobry, a pozostanie takim, gdy światła te pogasną i muzyka umilknie! Obecnie smutną byłam niewypowiedzianie.

Naraz kurczowo ścisnęłam ramię przyjaciółki. O trzy kroki od nas ujrzałam wysoką postać w szafirowem dominie z jasno niebieskiem obszyciem. Bez atłasowej szarfy nawet spadającej na plecy. Byłabym go poznała. Był to Rudolf.

Baronowa skinęła. Zatrzymałyśmy się chwilę.

— W sali rozłączymy się — rzekła stanowczo. — Po tęgiej figurze łatwo mnie poznać i twój Don Juan mógłby coś podejrzewać.

Podczas tego znikł nam z oczu.

— Rozłączmy się.

— Do widzenia! — szepnęła mi baronowa. Otóż nadchodzi kapitan Saldarn! prześliczna maska, ale nóg krzywych ukryć nie potrafi! Idź już Alido! Steruje prosto ku nam.

Mówiąc to, odeszła zwolna, pompatycznie szaleczcząc stalowo-niebieską suknią! Mimo zmartwienia, zazdrościłam jej prawie, iż może tak otwarcie doskonałość swej wspaniałej, toalety wykazać, gdy ja śliczną sukienkę w domino okryć musiałam.

Walc, który nastroił mnie tak elegicznie był introdukcyą tylko; bo teraz dopiero wśród szczęku trąb i fanfar rozpoczął się bal, podczas gdy z tamtej strony tak zwanej frankijskiej galeryi w małej sali pochód przygotowano.

Ja nic nie tańczyłam wcale — raz z powodu domina, a potem smutnego mego nastroju. Nie robiłam nawet spostrzeżeń, które są głównym urokiem podobnych uroczystości.

— Przypadkowo rozpoznałam kilku młodszych panów z naszego towarzystwa. W innym razie byłoby mnie to bawiło, zwłaszcza gdy jeden z nich zbliżył się ku mnie, szepcąc różne szaleństwa. Doktór Hellmondt, mianowicie, dziwak, mający wyborny przedmiot do swych odurzających żarcików. Wziął mnie bowiem za Eleonorę Glitzing, która przed kilkoma dniami kuzyna swego wymownym koszem uraczyła. Szczęśliwem zachowaniem incognita byłam zadowoloną, szczególnie, gdy udało mi się wybornie głos zmienić, co z początku uważałam za niemożliwe.

Doktór Hellmoldt znudzony bezbarwnością moich odpowiedzi odszedł nie zadługo, ażeby pożeglować za jakąś Małgosią uroczą, z blond warkoczami, która ustrojona w lazury i kwiaty brzoskwiniowe przechodziła koło nas. Wówczas po raz wtóry ujrzałam domino z atłasową szarfą i zostałam przezeń ujrzaną. Jakby sparaliżowany szczęściem spotkania powoli zliżył się do mnie

— Tysiączne dzięki za dotrzymanie słowa — szepnął z niezmierną czułością.

Oniemiałam z wruszenia. Ale ponieważ musiałam coś odpowiedzieć, wyjąkałam w końcu z pomieszaniem:

— Nie teraz! Później!...

— Masz pani słuszność — odparł cichutko. W czasie uroczystego przedstawienia nikt nas nie zauważy; tu jednak świat jest tak zazdrosny....

Przerwał sobie, gdyż muzyka w tej chwili umilkła. Odwróciłam się z zbolałem sercem.

Huk trąb przeciągły oznajmił zbliżanie się pochodu.

Ogromnemi zakrętami frankijskiej galeryi schodzili przedstawiciele wszystkich stuleci po sześć lub ośm par w odpowiednim epoce stroju. Widok był imponujący!

Francuski Abbé, akcent jego zdradzał nadreńczyka, grzecznie przystąpił do mnie i pół żartem tłumaczył mi szczegóły z dokładnością godną specyalisty.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Słyszy się ciągle i czyta narzekania na wyzysk, jakiego dopuszczają się względem publiczności rzeźnicy i piekarze, hotelarze, fryzyerzy, restauraterzy i kupcy, od największych począwszy, na najmniejszych skończywszy, każdy zaś lament taki kończy się pompatycznym okrzykiem: „Czyż niema władzy, która temu położyłaby kres?"

Jest to pytanie poniekąd retoryczne, istnieje bowiem Urząd walki z lichwą, jest on jednak tak zajęty łowieniem drobnych rybek, iż wielkie szczupaki grasują tymczasem bezkarnie. Czytaliśmy niedawno, że krakowski Urząd przysporzył skarbowi państwa z tytułu grzywien coś około pięć milionów marek, na tę kwotę złożyły się przeważnie udziały drobnych handlarzy, gdy natomiast wielcy przemysłowcy zasilili ją tylko w bardzo nielicznych wyjątkach. Gdyby jednak chciano szukać i równą miarę stosowano do wszystkich, nie kierując się względami protekcyi lub stanowiska społecznego paskarzy i lichwiarzy, fundusz ten byłby dziesięć razy większy i nie tylko pokryłby wydatki, połączone z funkcyonowaniem urzędu, ale nadto pozwoliłby na odprowadzenie do kas państwowych grubych milionów. To podziałało by może na naszych rycerzy przemysłu, owe bowiem pięć milionów, jak rzeczywistość okazuje, nie wywarły na nich żadnego wpływu. Na wzmiankę o Urzędzie walki z lichwą kiwają lekceważąco ręką, jak gdyby odpędzić chcieli muchę, brzęczącą wprawdzie złowrogo, w rezultacie przecież nie robiącą wielkiej krzywdy.

Te refleksye nasunęły się nam na myśl przy rozważaniu nieszczęsnej doli, jaka się stała dziś udziałem każdego ze śmiertelników. Drą go wszyscy ze skóry i nawet płakać nie pozwolą, a jeśli łzę uroni, śmieją się z niego i powiadają: „To się nie daj!..." A, jak się tu nie dać, skoro siły jednostki na obronę za słabe, a z pomocą nikt nie pospieszy, wychodząc z założenia, że nie warto się niepotrzebnie narażać i w ten sposób utrudniać jeszcze bardziej i tak już dość ciężką egzystencyę.

W rzędzie paskarzy, którzy należą do najnielitościwszych, ale cieszą się jakiemś nadzwyczajnem szczęściem, rzadko bowiem czyta się narzekania na uprawiany przez nich wyzysk, należą krakowscy dorożkarze, tem się różniący na swą niekorzyść od innych prześladowców ludzkości, że, gdy ci, drąc skórę z bliźniego, uśmiechają się słodko i kłaniają bardzo grzecznie, dorożkarz postępuje sobie w sposób najordynarniejszy, grożąc niejednokrotnie batem.

Zdarzyło się przed kilku dniami jednemu z naszych znajomych, iż zmuszony był udać się na cmentarz rakowicki, ponieważ zaś w dniu tym z powodu procesyi ruch tramwajowy wstrzymano, a ostatnia para nóg, jaką jeszcze rozporządza, pozostawia wiele do życzenia, trzeba było wziąć fiakra. Jako człowiek starej daty, przyzwyczajony w dawnych czasach do dojeżdżania jedynie do rogatki rakowickiej, znajdującej się wówczas w połowie ulicy, zapytał mimowoli jednego z panów dorożkarzy na Rynku Głównym:

— A ile pan żąda do rogatki rakowickiej?

— Tylko odwieźć?... — odpowiedziano pytaniem na pytanie.

— Tak jest!

— Dwa tysiące marek...

Naszemu znajomemu zrobiło się zimno, gdy usłyszał te słowa i momentalnie zrezygnował z zamiaru przejażdżki, postanawiając drogę odbyć piechotą co mu niezawodnie policzone będzie kiedyś, jako umartwienie grzesznego ciała. Odchodząc, rzucił okiem na numer dorożki, na co usłyszał chóralny okrzyk wszystkich innych woźniców, znajdujących się na stanowisku:

— A oglądnij se pan i nasze numery!...

Przystanąwszy o kilkanaście kroków, wyjął portfel, aby zanotować sobie numer tak kosztownej dorożki, co dojrzawszy, woźnica jej podszedł ku niemu ze słowami na ustach:

— Bo ja myślałem, że pan chce do Rakowic...

Pomijając już okoliczność, że nawet i do Rakowic kwota dwa tysiące jest zbyt wygórowaną, gdyż jazda z Rynku na miejsce nie zabierze więcej, jak pół godziny, warto się zastanowić nad tem, w jaki sposób dorożkarz tak nagle, choć trochę późno, zrozumiał żądanie swego gościa. Oczywiście sądził, że ma przed sobą jakiegoś obcego, który zapłaci ile zażąda. W ostatniej dopiero chwili ruszyło go sumienie z obawy przed odpowiedzialnością, choć na ogół panowie ci z wszelakich władz przełożonych nic sobie nie robią, zwłaszcza zaś obecnie, gdy policya, zorganizowana na sposób angielski, postępuje też z flegmą, właściwą synom Albionu.

Na wytłómaczenie swoje, że zażądał zbyt wygórowanej ceny za jazdę na cmentarz, mógłby dorożkarz wprawdzie zasłonić się tem, że kazano mu jechać do rogatki rakowickiej, nie należy jednak zapominać o tem, że rogatka ta oddaloną jest od głównej bramy cmentarnej o kilkadziesiąt kroków.

Przybysz, nie znający Krakowa zapłaci chętnie, nie znając odległości, zresztą krakowscy fiakrzy znani są z dowcipu i zdarzało się już, że jakiś nieszczęśliwiec, który przybył zwiedzić osobliwości podwawelskiego grodu w czasach przedwojennych, aby się nie spóźnić do teatru, zatrzymał przechodząc ulicą Floryańską dorożkę i kazał się zawieźć na żądane miejsce.

— Guldenka, dobrodzieju!... — usłyszał z kozła — Będzie z ćwierć mili drogi, ale moja szkapa morowa, to się nie spóźnimy...

I trzeba mu przyznać, że był człowiekiem sumiennym i pozwolił gościowi za owego „guldenka" użyć trzęsącej przyjemności, przewiózł go bowiem przecznicą ku ulicy św. Jana, następnie na Ryek, potem Bracką, Placem Wszystkich Swiętych, Dominikańską, św. Gertrudy, Stolarską, Małym Rynkiem na Szpitalną. Gość się cieszył, że przybył na czas, a woźnica, „że frajera wykiwał..."

Wracając do naszego rakowickiego wypadku, rozumimy teraz dobrze, dlaczego to panowie fijakrzy tak często tłómaczą się, że są zajęci, bodajby rozmową o polityce i jechać nie mogą. Bo i po cóż się męczyć i być gotowym na każde zawołanie, skoro, zrobiwszy dziennie kilka takich „słonych" tur, ma się już w kieszeni swój zarobek, potrzebny na opędzenie wydatków. Jeśli gość się nie podoba, fijakier jest zajęty, lub słyszy się odpowiedź, że droga jest za daleka, a szkapa słaba i takich trudów nie zniesie, co jednak nie przeszkadza, iż, gdy się nawinie odpowiedniejsze towarzystwo i zażąda jazdy choćby na Bielany, owa „słaba szkapa" rusza ostro z miejsca i to z fantazyjnie do góry podniesionym ogonem.

Jedno jeszcze tłómaczenie mogliby krakowscy fijakrzy przytoczyć na swoją obronę, dlaczego żądają tak wygórowanych cen. Ich powoziki, czyli tak zwane przez nich „faetony", są zabytkami, pamiętającymi czasy Wolnego miasta Krakowa, nie licującymi wprawdzie z jego europejskością, a przypominającemi raczej Berdyczów lub Kulików, harmonizującymi jednak pięknie z średniowieczną patyną kurzu i błota. Używanie zaś tak cennych antyków musi też być odpowiednio opłacane.

Pomijając jednak te i tym podobne tłómaczenia, z kolei pozwolimy sobie postawić pytanie: „Czyż jest jaka władza, która potrafiłaby położyć kres podobnemu zdzierstwu?..." Pytanie to stawiamy tak w interesie własnym, jak i przyjezdnych, którzy z tego powodu wywożą z Krakowa niezbyt miłe wspomnienia i, powróciwszy do domu, opowiadają dziwne rzeczy o europejskości serca Polski, porządkach w niej panujących i grzeczności jej mieszkańców. Słusznie zauważył ktoś, że Kraków, to miasto „bardzo drogie", nie tyle może dla serca, ile dla kieszeni.

Nie ulega kwestyi, że marka polska przedstawia dziś bardzo małą wartość, nie należy jednak zapominać o tem, iż „ziarnko do ziarnka, zbierze się miarka". Niechaj fijakier zrobi dziennie piętnaście podobnych kursów, co nie sprawi mu żadnej trudności, ani nie będzie połączone ze zbytecznym wysiłkiem, zarobek jego miesięczny dojdzie miliona marek, co pozwoli jemu i jego rodzinie karmić się najwyszukańszymi smakołykami, wody stale unikając, a „szkapę" nadziewać jedynie owsem, którego, nawiasem mówiąc, prawie nigdynie ogląda.

Za dawnych, austryackich czasów, należeli dorożkarze pod opiekuńcze skrzydła Dyrekcyi Policyi, która, przyznać trzeba, od czasu do czasu zdobywała się wobec nich na energię, z której oni jednak z zasady niewiele sobie robili w myśl przysłowia: „Dziad swoje, baba swoje." Dziś zwykły śmiertelnik, choćby wiedział nawet o tem, że policya opiekuje się nadal dorożkarzami, znajdzie się w kłopocie nie wiedząc, w którą stronę się zwrócić, mamy bowiem dawną Dyrekcyę Policyi przeistoczoną na Starostwo Grodowe, które objęło część jej dawnych funkcyi, ale jest ponadto i Policya Państwowa, podzielona na rozmaite działy, rozmieszczone w rozmaitach punktach miasta. Trzeba obejść kilka urzędów, aby trafić na właściwy, a na to nie każdy posiada dość czasu, cierpliwości i samozaparcia się, gdy zelowanie butów takie dziś drogie.

I z tego właśnie powodu nasz znajomy, który, choć nie należy do obozu konserwatywnego, z czasem przecież się liczy i umie jego wartość ocenić, zwrócił się do nas z prośbą o poradę, w którą stronę się ma zwrócić, aby winowajca poniósł zasłużoną karę, a on sam nie był narażony na niepotrzebne chodzenie. Zdania były podzielone, jedni wskazywali na Urząd walki z lichwą, drudzy na Starostwo Grodowe, trzeci wreszcie na Policyę Państwową, nie byli jednak pewni, czy należy ta sprawa do kompetencyi któregoś z komisaryatów, do jej wydziału śledczego, czy też do kierownictwa ogólnego.

Nasz znajomy zrezygnował zatem z oddania złoczyńcy w szpony sprawiedliwości, mówiąc:

— Niech fijakry drą z ludzi skórę w dalszym ciągu, a nauczą ich chodzić piechotą!...

Ta fijakierska sprawa tak daleko zajechała w tegotygodniową kronikę, że na sprawy polityczne niewiele miejsca zostało. Ale może to i lepiej, zbliża się bowiem czas kanikularny, a wtedy nikt polityką zajmować się nie lubi, każdy woli kurczątka z sałatą lub bodajby kwaśne mleczko z nowymi ziemniaczkami, specyały, dostępne dawniej dla pierwszego lepszego burżuja, choćby nawet inteligenta, dziś wyłączny przywilej paskarzy albo też pracujących fizycznie.

Z najważniejszych wydarzeń politycznych z tygodnia wypadałoby zanotować zamordowanie w Berlinie Rathenaua, o którym niedawno, z okazyi zbliżenia niemiecko sowieckiego w Rapallo, tak wiele się pisało i mówiło. Powiększył już grono aniołków, a zgon jego musiał z pewnością niemile drasnąć Lloyd'a George'a, a tembardziej Cziczerina, bojącego się, aby go za sobą nie powołał celem bliższego omówienia postanowień traktatowych. Lloyd George od chwili zamordowania marszałka Wilsona jeździ dla ostrożności tylko na armacie, a w każdej kieszeni ma nabity karabin maszynowy, odtąd będzie się publicznie pokazywać w tanku, a jak nas zapewnia nasz specyalny sprawozdawca londyński, na wszelki wypadek ubezpieczył się bardzo wysoko. Jedynie śmierci na morzu nie obawia się wcale, powtarzając sobie nasze stare przysłowie, że, co ma wisieć nie utonie i z tego właśnie powodu przenosi się na stały pobył na pokład okrętu.

Wogóle na „wielkich ludzi" wiadomość o tych dwu ostatnich zamachach, mających bezwarunkowo podkład polityczny, podziałała bardzo ujemnie i tem sobie można wytłómaczyć ociąganie się naszych mężów stanu w przyjęciu godności sternika nawy państwowej, który szczęśliwie mógłby ją doprowadzić do brzegu wśród rozhukanych bałwanów sejmowych.

Jak dwa tygodnie temu rozpoczęło się w Warszawie przesilenie gabinetowe, tak trwa w dalszym ciągu do chwili, w której to piszemy, to jest do poniedziałku rano. Stronnictwa radzą i nic uradzić nie mogą, Komisya Główna, nowy dziwoląg polityczny, wyhodowany na warszawskim gruncie, jest w tem samem miłem położeniu. Powiadają, że „do trzeciego razu sztuka", tymczasem trzy kandydatury, Skulskiego, Korfantego, i Przanowskiego, spaliły na panewce. Skulski odmówił odrazu, Korfantego nie chciała większość, Przanowski początkowo się zgodził, ale się jeszcze na czas rozmyślił. Kto będzie czwartym, tego dziś jeszcze nie wiemy, do czwartku, gdy *Nowości Illustrowane* uwalniają się z uścisków maszyny drukarskiej, sprawa może się wyklaruje, w następnej zatem kronice będziemy mieć zatem sposobność omówić całokształt tych naprzwdę tytanicznych zmagań, wprawdzie nie orężnych, lecz językowych, godnych jednak pióra jakiegoś nowoczesnego Homera.

Zakończymy zatem nie politycznie, co niechaj nikogo nie przeraża, moralność publiczna nic bowiem na tem nie ucierpi. Chcemy mianowicie wspomnieć o hołdzie, złożonym Ameryce przez dzieci krakowskie. Jej przedstawiciele ten objaw wdzięczności przyjęli z pełnem uznaniem, wyrazili się jednak, iż byłoby im daleko przyjemniej, gdyby panie komitetowe były mniej pulchne, okrąglejsze natomiast dzieci, ich pieczy powierzone.

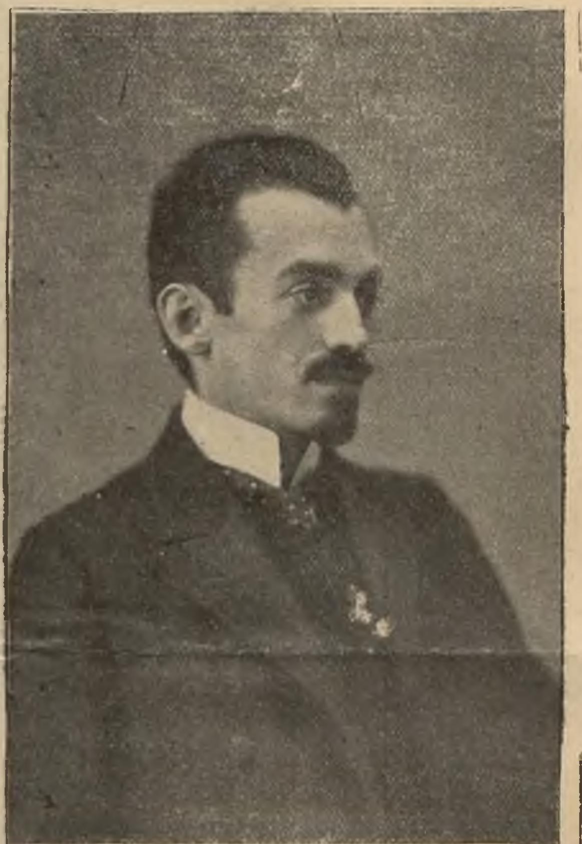
konano ku ogólnemu zadowoleniu w lwowskiej firmie Celestyna Wypaska, piękny grot pomysłu modelisty P. K. P. Borowca odlano w pracowni p. Kupieckiego.

Po ceremonii poświęcenia udano się w pochodzie do warsztatów kolejowych, gdzie nastąpiło poświęcenie spinalni strażackiej, wspólna fotografia i przyjęcie gości oraz członków Straży w hali montowania parowozów, podczas którego przygrywała orkiestra kolejowa pod batutą swego kapelmistrza.

Tragiczny zgon polskiego pedagoga

W piątek dnia 16 czerwca b. r. była okolica Skolego widownią tragicznego wypadku, którego ofiarą padł znany i ogólnie we Lwowie ceniony pedagog i uczony, profesor I. Szkoły realnej, ś. p. dr. Zdzisław Thullie.

W dniu tym bawiła w Karpatach naukowa wycieczka uczniów Szkoły realnej ze Lwowa, którzy przybyli w okolice Skolego pod kierownictwem swych profesorów, aby poznać bliżej tamte strony. Wracano już w stronę stacyi kolejowej w Skolem, gdy nagle



Tragiczny zgon polskiego pedagoga: Śp. dr Zdzisław Thullie, prof. I. Szkoły Realnej we Lwowie, zabity przez piorun w okolicy Skolego w dniu 16 czerwca b. r.

zerwała się gwałtowna burza z piorunami, zjawisko w okolicach górskich bardzo częste. Większość uczniów i profesorów wyszła cało, nieszczęściu uległ prof. Thullie, który z jednym z uczniów pozostał nieco w tyle i właśnie tłómaczył mu powstawanie piorunów. Rażony piorunem, padł trupem na miejscu, bezskutecznymi okazały się zastosowane natychmiast doraźne środki ratunkowe, uczeń uległ chwilowemu porażeniu, z którego jednakże rychło przyszedł do siebie.

S. p. dr. Zdzisław Thullie, syn szanowanego ogólnie we Lwowie profesora Politechniki i działacza społecznego dr. Maksymiliana Thullie, urodził się we Lwowie w r. 1872, tutaj ukończył studya średnie i Uniwersytet Jana Kazimierza, gdzie w roku 1907 promował się na doktora filozofii. S. p. dr. Thullie poświęcił się studyom matematyczno fizycznym, w szczególności badaniu elektryczności, która, dziwnem zrządzeniem losu, położyła kres jego zasłużonemu żywotowi. Pracował pod kierunkiem niezapomnianego ś. p. prof. M. Smoluchowskiego, z którym łączyły Go serdeczne stosunki i wspólne umiłowanie wiedzy. W roku 1909 bawił w Paryżu, gdzie specyalizował się w studyach nad elektrycznością pod kierunkiem prof. Langevina. Owocem tych studyów był cały szereg rozpraw i poważnych prac naukowych, przyjętych z uznaniem tak w kraju jak zagranicą. Ostatnią z nich, nie wydaną jeszcze, jest dzieło „O gromochronach".

Poza tem oddawał się ś. p. prof. Thulie z zamiłowaniem pracy pedagogicznej, zdobywając sobie serca młodzieży prawdziwie ojcowskiem i szczerze przyjacielskiem postępowaniem. Choć stały przed nim otworem drogi do zaszczytów, pogardził nimi, jako szczerze i gorąco kochający swój rodzinny Lwów, tutaj zadowolił się skromnem stanowiskiem profesora I. Szkoły Realnej, pracując równocześnie i w innych zakładach naukowych.

I życie społeczne nie było mu obcem, wstępując w ślady swego ojca, znalazł zawsze dość wolnego czasu, by się mu oddać wedle sił i najlepszej woli. Działalność jego w tej dziedzinie spotkała się również z ogólnem uznaniem lwowskiego społeczeństwa.

Miara sympatyi, jaką ś. p. prof. dr. Zdzisław Thullie cieszył się tak wśród świata naukowego młodzieży, jak i w najszerszych sferach obywatelstwa, był pogrzeb ofiary nieszczęśliwego wypadku. W dniu 21 czerwca b. r. te tysiące ludzi, zgromadzone obok krypty kościoła Bernardynów, aby oddać ostatnią posługę cichemu a zasłużonemu pracownikowi, były aż nazbyt wymownym dowodem, jak Lwów odczuł, jaką stratę ponosi.

Przyszli artyści.

W usiłowaniach nielicznych jednostek nad rozwojem kultury muzycznej wogóle, a śpiewackiej w szczególności, jednym z najwytrwalszych pracowników jest bezsprzecznie prof. St. Bursa. Jego intensywna praca na polu pedagogii wokalnej wydała już nader poważne rezultaty, tak w postaci kilkudziesięciu sił, pracujących na stanowiskach i śpiewaczek operowych, z chlubą dla swojego mistrza, jakoteż wielkiej rzeszy śpiewaków amatorów, zapełniających kadry towarzystw śpiewackich nietylko Krakowa (w „Echu" krakowskiem, które pięknem brzmieniem chóru zdobyło pierwszą nagrodę na konkursie Tow. śpiewaczych, jest ich kilkunastu), jakoteż wśród nauczycielstwa śpiewu i muzyki. Zasługi w tym względzie wielkie uznaje prasa codzienna i liczni zwolennicy, którzy na każdą produkcyę uczniów cenionego maestra spieszą nawet z poza granic Krakowa. Ostatni popis, będący właściwie wspaniałym koncertem o starannie zestawionym programie, ujętym w produkcyę zespołową i chóralną, przedstawił parę talentów w różnych stadyach rozwoju, od początkujących do ukończonych, mogących już stanąć do pracy zawodowej. Taką jest w pierwszej linii p. Dolężanka (pod tym pseudonimem kryje się córka prof. Bursy p. Miłosława), przygotowana doskonale i rozporządzająca pięknym głosem, nieprzeciętną muzykalnością, inteligencyą oraz pięknymi warunkami zewnętrznymi. Drugim z kolei jest utalentowany basista p. R. Wraga, posiadacz silnego, dźwięcznego głosu. Również p. Tököly, tenor liryczny, przedstawił się jako dobiegający już kresu nauki, podobnie jak i p. Nellówna, sopran o pięknej barwie tonu i dużej muzykalności. Warunki tej czwórki kwalifikują ich na śpiewaków operowych. Także p. Bąkowska, również kończąca studya, przedstawiła się jako typ śpiewaczki estradowej w przyszłości, tem więcej, że posiada głos o łagodnym dźwięku i dystyngowanej postaci. Z młodszych wybiły się na czoło dwie panienki, a to p. Poczynkówna zarówno pięknością poduczonego materyału i wielką muzykalnością, oraz p. Szczerbińska, w której ciemnym, dramatycznym głosie o soczystym dźwięku, tkwi bogaty materyał śpiewacki. Osobna wzmianka należy się basowi p. Kalińskiemu za poprawność i muzykalne wykonanie aryi z „Verbum no-



Poświęcenie sztandaru Ochotniczej Straży Pożarnej warsztatów kolejowych we Lwowie: Przyjęcie członków Straży i gości w hali montowania parowozów. Fot. M. Münz, Lwów.



Przyszli artyści: Prof. St. Bursa, właściciel i kierownik znanej Szkoły śpiewu w otoczeniu swych uczniów i uczenic.

bile", oraz p. Zdrojównej za dzielne trzymanie się w duecie. Obiecująco zapowiada się talencik p. Krzeczowskiej, śpiewającej bardzo poprawnie i p. Fogelmanównej, a obok nich p. Gaczyńskiego i Salawy. Akompaniament dla doskonałego wykonania II aktu „Goplany" spoczywał w doświadczonych i pewnych rękach prof. Bursowej, której para uczniów p. I. Poczynkówna i Leszek Bursa akompaniowali solistom. Rzęsiste oklaski były zasłużoną nagrodą dla młodocianych śpiewaków. Odnosiły się one i do prof. Bursy, którego ze strony uczniów i publiczności spotkała owacya kwiatowa. *Kan.*



Intronizacya Króla Kurkowego we Lwowie: Nowoobrany Król, dyr. Bolesław Lewicki w otoczeniu Braci Strzeleckiej.

Zamordowanie niem. ministra spraw zagranicznych.

Niemcy są obecnie widownią gwałtownego ścierania się prądów monarchistycznych, podnoszących coraz jawniej swą głowę, z republikańskimi. W całym kraju wre agitacya za powrotem do dawnych stosunków, przywróceniem panowania Hohenzollernów i odwetem na Francyi. Większość urzędników, armia i policya, nadto zaś młodzież, to zdeklarowani monarchiści, czekający tylko na sposobność urządzenia zamachu stanu.

Jeszcze nie przebrzmiały echa zamordowania Erzberga i zamachu na Scheickmana, których sprawcy uszli bezkarnie, a sprawiedliwość niemiecka nie wysila się bynajmniej, by ich ująć, gdy oto nadchodzi znowu wiadomość, że w dniu 24. Czerwca b. r. dokonano mordu na osobie Waltera Rathenaua, byłego ministra odbudowy, a obecnie spraw zagranicznych, jednego z najwybitniejszych działaczy republikańskich Niemiec, propagatora ugody gospodarczej z Francyą i twórcy sojuszu z Sowiecką Rosyą.

Że mord ten miał pobudki polityczne, w to nikt nie wątpi. Dokonało go trzech nieznanych bliżej osobników, którzy oddali do Rathenaua dziesięć strzałów rewolwerowych, rzucając ponadto granat ręczny do jego samochodu. Działo się to około godziny jedenastej rano, gdy Rathenau opuścił swe mieszkanie w dzielnicy Grünewald i samochodem zdążał w stronę urzędu spraw zagranicznych. Z tyłu nadjechał inny samochód z owymi, niewyśledzonemi dotąd osobami i gdy na skrzyżowaniu dwóch ulic, gdzie się kończy dzielnica wil, oba zrównały się, dokonano zamachu. Rathenau ugodzony kulą śmiertelnie w usta wyzionął ducha na miejscu, sprawcy umknęli zaś w szalonym pędzie, przez nikogo nie ścigani.

Gdy wiadomość o śmierci Rathenaua doszła do parlamentu, dało to powód do gwałtownych manifestacyi przeciw prawicy i okrzyków, wskazujących na niemieckich nacyonalistów, jako na morderców. Kanclerz Dr. Wirth poświęcił zamordowanemu gorące wspomnienie, poczem posiedzenie na znak żałoby przerwano. Na radzie gabinetowej, zwołanej niezwłocznie przemawiał również dr. Wirth, podnosząc zasługi Rathenaua dla republiki niemieckiej, ze względu zaś na polityczny charakter morderstwa, aby uniknąć demonstracyi i zaburzeń, uchwalono zaprowadzić w Niemczech stan wyjątkowy.

W całym kraju wiadomość o śmierci Rathenaua i warunkach, w jakich nastąpiła, wywołała łatwo zrozumiałe wrażenie. Fakt sam świadczy, iż Niemcy znajdują się obecnie na wulkanie, grożącym bardziej, niż kiedykolwiek rychłym a gwałtownym wybuchem.

Intronizacya Króla Kurkowego we Lwowie.

Lwowska Strzelnica ma swoją ustaloną reputacyę, jako środowisko, gromadzące koło siebie polskich mieszkańców miasta Lwowa. Średniowieczna instytucya, wraz z mieszczaństwem niemieckiem przeszczepiona na nasz grunt, stała się zbiegiem czasu ostoją polskości i bardzo poważnem stowarzyszeniem politycznem mieszczaństwa lwowskiego, decydującem niejednokrotnie o losach Lwiego grodu. Dawne zrzeszenie mieszczan celem wspólnej obrony i ćwiczenia się w sztuce wojennej, jest dziś stowarzyszeniem zarówno kulturalnem, humanitarnem jak i politycznem. Członkowie lwowskiej Strzelnicy gromadzę się tam nietylko dla przyjemnego spędzenia wolnych chwil, ale sprowadzają ich również i poważniejsze cele. Brać Strzelecka lwowska, pomna



Zamordowannie niemieckiego ministra spraw zagranicznych: Walter Rathenau, niemiecki minister spraw zagranicznych.

dawnych tradycyi, wiążących się ze Strzelnicą, która zawsze w życiu Lwowa odgrywała ważną rolę, pielęgnuje troskliwie dawne zwyczaje, a szeregi jej członków, bardzo liczne, stanowią jak gdyby jedną rodzinę, gotową zawsze stanąć w potrzebie ramię przy ramieniu, jak to bywało za owych dawnych, daleko lepszych od dzisiejszych czasów. I z tego punktu zapatrując się na Strzelnicę lwowską, należy jej życzyć jak najpomyślniejszego rozwoju i nadal a pokrewnym instytucyom, aby godnie wstępowały w jej ślady.

Doroczna uroczystość intronizacyi nowego króla kurkowego po ukończeniu strzelania królewskiego odbyła się i w roku bieżącym według staroświeckiego ceremoniału w dzień Bożego Ciała. Po procesyi udali się członkowie Towarzystwa Strzeleckiego, przybrani przeważnie w piękne, narodowe polskie stroje, na Strzelnicę, gdzie nastąpiła intronizacya „jego królewskiej mości", którą to godność na rok następny zdobył sobie dyrektor Bolesław Lewicki. Przybycie króla z orszakiem zwiastowały strzały moździerzowe i dźwięki muzyki, aktu intronizacyi dokonał prezes Towarzystwa, prezydent miasta J. Neumann. W odpowiedzi wygłosił król mowę tronową, wzywając członków do pożytecznej i zbożnej współpracy pod sztandarami Towarzystwa, tak ściśle związanego z losami Lwowa i jego polskiego mieszczaństwa. Nastąpiło rozdanie nagród za najlepsze strzały i wspólna fotografia. Wieczorem w salach Strzelnicy odbyła się „uczta królewska" przy bardzo licznym udziale członków i zaproszo-



Zaślubiny króla Aleksandra Karageorgiewicza: Księżniczka Marya wraz z ojcem w drodze do katedry belgradzkiej.

nych gości. Wygłoszono szereg toastów i przemówień, nacechowanych szczerem i gorącem przywiązaniem do naszej kresowej Stolicy, której polskości gotowi członkowie, gdyby tego zaszła potrzeba, bronić do ostatniej kropli krwi.

Zaślubiny króla Aleksandra Karageorgiewicza.

Dzień 8. czerwca b. r. zapisał się w dziejach Jugosławii niezatartemi głoskami. W dniu tym po błogosławiony został w katedrze belgradzkiej związek małżeński króla Aleksandra z księżniczką rumuńską Maryą. Fakt, na oko zwykły, dla polityki europejskiej mający jednak bardzo doniosłe znaczenie, zwrócił uwagę całego świata na Belgrad i Małą Ententę, mającą zapewnić pokój w środkowej i wschodniej Europie.



Zaślubiny króla Aleksandra Karageorgiewicza: Księżniczka Marya rumuńska, młodsza córka króla Ferdynanda.

Dla ludności serbskiej było to prawdziwe święto narodowe, dynastya Karageorgiewiczów, chłopskiego pochodzenia cieszy się bowiem w kraju, zwłaszcza od czasu ostatniej wojny, ogromną popularnością.

Na powitanie oblubienicy, która w towarzystwie swych rodziców przybyła do Belgradu Dunajem, wyległy na wybrzeże tysiączne rzesze w barwnych narodowych strojach.

Na przystani powitał dostojne grono prezydent stolicy chlebem i solą. Pomiędzy osobistościami, które powitały przybyszów był książę Arsen serbski, drugi syn króla angielskiego książę Yorku, skuzynowany z królową Maryą rumuńską. Wyszukany przepych karoc dworskich odbijał dziwacznie od nieco prostaczych ulic. Bo Belgrad, szybko się dziś rozrastający, robi bądź co bądź wrażenie ogromnej wsi. Na ślub sympatycznej pary zjechał prócz księcia Yorku książę Udiny jako przedstawiciel króla włoskiego, a wuja pana młodego, dalej infant hiszpański i infantka spokrewnieni z panną młodą, marszałek francuski Franchet d'Esperey, który powszechną zwracał uwagę, dr. Benesz, premier czechosłowacki i wielu innych. Nigdy Belgrad nie widział takiego zastępu strojnych dygnitarzy i królewskich wysokości.

Wśród żywiołowych wybuchów entuzyazmu i radości odbył się dn. 8 czerwca b. r. ślub króla z księżniczką Maryą w katedrze. Pałac królewski, na głównej ulicy Milana, na którym powiewały sztandary rumuński i serbski, świeżo dopiero został ukończony. Dołączono do niego bowiem nowe skrzydło i król Aleksander mieszkał w ostatnich czasach w skromnych pokojach w pobliżu. Do ślubu jechał on z królową rumuńską w otwartym powozie, a poprzedzał go książę Yorku i książę Arsen serbski. Za nim zaś jechała panna młoda z ojcem, przybrana w białą suknię z rzymskiego satynu. Piękną fryzurę miała owiniętą wiankiem z białych kwiatów, a na ramiona jej spływały długie, złociste welony. U wejścia do niewielkiej, barokowej katedry przyjął zastęp ten patryarcha, wręczył im egzemplarz biblii i dał im do pocałowania ikonę. Książę Yorku grał rolę głównego świadka ślubu czyli „kuma", a stryj króla, książę Arsen, mistrza ceremonii, czyli „Stari Swat", starego swata. Oni to trzymali świece i wieńce ślubne podczas ceremonii ślubu, którego udzielał siwowłosy patryarcha w asyście 4 biskupów. Po włożeniu pierścionków na palce pary młodej król, królowa i wszyscy najbliżsi uczestnicy obeszli trzykrotnie dookoła stołu, na którym spoczywały ikony i biblie.



Zaślubiny króla Aleksandra Karageorgiewicza: Katedra w Belgradzie, w której pobłogosławiony został w dniu 8. czerwca b. r. związek małżeński króla Aleksandra z ks. Maryą rumuńską.





Zaślubiny króla Aleksandra Karageorgiewicza: I.) Król Aleksander w towarzystwie królowej matki rumuńskiej. II.) Księżniczka Marya wysiada z karety dworskiej przed katedrą belgradzką.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę PT. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Grzebieniówka.

Ułożył K. Bąk, Lwów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy utworzy nazwę uroczystego święta.

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
— — — — —
— — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Znany gad, 2. Miejscowość kąpielowa w Niemczech, 3. Zwierzę domowe, 4. Część doby, 5. Przyrząd rolniczy.

Zgłoskówka.

Ułożył M. Twardowski, Warszawa.

Z każdego wyrazu wyjąć jedną zgłoskę i ułożyć z nich dwa wyrazy, obecnie bardzo na czasie.

Wesele
Sodalis Marianna
Całe życie biedna
Goplana
Alpuhara
Koleje życia
Na polu chwały
Jadwiga i Jagiełło.

Kwadrat magiczny.

Ułożył Polityk z Sosnowca.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w rzędach poziomych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą nazwę miejscowości, o której się obecnie dużo słyszy.

■ — — — —
— ■ — — —
— — ■ — —
— — — ■ —
— — — — ■

Znaczenie wyrazów: 1. Jezioro w Wielkopolsce, 2. Pobojowisko z r. 1871, 3. Miasto w środkowej Małopolsce, 4. Miasto w dawnym zaborze pruskim, 5. Miejscowość graniczna w zachodniej Małopolsce.

Okienko.

Ułożył W. Z., Kraków.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy równobrzmiące w kierunku poziomym i pionowym:

a a a a a
a k m
m n n n n
e e r
r s s y y

Znaczenie wyrazów: 1. Rzeka we Francyi nad którą rozegrał się ważny epizod ostatniej wojny światowej. 2. Imię męskie, 3. Poeta polski.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) W. Przybyszewskiego „Czerwona mara“ (powieść); 2) Kalendarz kartkowy na rok 1922.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 14.

Logogryf: P, era, glina, Roman, brama, krata, koper, Koran, śliwa, salep, gil, s.

Zadanie do uzupełnienia: Para, ogar, mara, Adam, gama, Aron, Jura, Muza, York, Iran, Newa, wata, Amor, lira, Ikar, dama, Odra, mewa.

Zadanie do uzupełnienia: Wola, Idzi, Ezaw, Lena, Kadi, Ipek, para, ozór, sago, Tuła.

REBUS: Zapraszamy do przedpłaty na Nowości Illustrowane.

Okienko. Palma, lamus, arsen.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: J. Gartowski Lwów, J. Wierzbicki Piotrków, M. Michalczyk Poznań, S. Kowalski Warszawa, W. Rozwadowski Kraków, H. Walewska Jasło, M. Skórkowa Kraków, L. Moniszewski Warszawa, J. Kalinowski Poznań, S. Węgrzyn Kraków, S. Górska Warszawa, H. Boratyńska Poznań, M. Planecka Kraków, S. Grabowski Wadowice, M. Stachowicz Kraków, P. Lachmanówna Lwów, M. Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnów, J. Martynowicz Lwów, Z. Sokolnicka Warszawa, B. Szypulska Wieliczka, W. Nowotarska Jarosław, J. Cercha Miechów, W. Ostrowski Płock, M. Kubicówna Kraków. S. Zakrzewski Sandomierz, K. Dębicki Sambor, S. Kozik Piotrków, M. Drohocki Warszawa, J. Benedyktowicz Kraków, H. Rakowiecka Warszawa, W. Krzemień Wilno, S. Dąbrowski Grudziądz, J. Cholewiński Tarnopol, Z. Koniecpolski Łódź, M. Morawski Kraków, Bol. Więckowski Stanisławów.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) W. Ostrowski Płock (książka); 2) J. Kalinowski, Poznań (kalendarz). — Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody w kwocie 25 mk.

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego